ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 65

Nr. 24. Warszawa, 2 (15) grudnia 1901 r. Rok III.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



OBFITA ZDOBYCZ.

Od Redakcyi.

Kończąc trzeci rok wydawnictwa „Łowca Polskiego," miło nam jest stwierdzić fakt żywego zajęcia się naszych myśliwych losami organu, poświęconego na usługi krajowego łowiectwa. Koło naszych czytelników może zbyt powolnie, ale stale się powiększa, co stanowi dla nas największą i najmilszą do dalszej pracy zachętę i podnietę.

Przytem i szeregi naszych stałych oraz przygodnych współpracowników, rosną stopniowo, napawając nas nadzieją, że i w przyszłości na coraz liczniejszy zastęp współpracowników i korespondentów liczyć będziemy mogli.

Składając przeto serdeczne podziękowanie zarówno naszym czytelnikom, jak i korespondentom oraz współpracownikom za dotychczasowe popieranie naszego pisma, polecamy ich łaskawej pamięci „Łowca Polskiego" na przyszłość.

Ponieważ numer niniejszy jest ostatnim w r. b., przeto załączamy dla naszych prenumeratorów prowincyonalnych blankiety przekazów pocztowych z prośbą o jaknajspieszniejsze nadesłanie prenumeraty na rok następny. Przytem nadmieniamy, że dla uniknięcia zwłoki i nieakuratności w odbiorze pisma najlepiej jest przesyłać prenumeratę bezpośrednio pod adresem Administracyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15.

Wyprawa myśliwska do Sudanu

przez

Jana Sztolcmana.

(Dokończenie).

Począwszy od Nuby droga karawanowa porzuca brzegi rzeki, uchylającej się znacznie na prawo, a wskutek tego omija wszelkie osady ludzkie, które, jak wiadomo, rozsiane są prawie wyłącznie nad samym Nilem. To też w ostatnim dniu naszej podróży jechaliśmy ciągle stepem bezludnym, zostawiając na prawo wsie i miasteczka, które grupami palm daktylowych zdradzały swoją obecność. O pół do 10-ej zatrzymaliśmy się na chwilę przy studzience, na ruinach jakiegoś domostwa. Stefan i Ahmed szybko rozstawili składany stolik i krzesła. Zakąsiliśmy zimnemi konserwami, popiliśmy Apollinarisem i winem białem, a wpół godziny potem jazda w drogę! Pusty i monotonny step nie dawał nam dokładnej miary, jak szybko się naprzód posuwamy. Czasami, gdy nam nogi za bardzo od długiej jazdy zemdlały, zsiadaliśmy z naszych wierzchowców i biegliśmy kłusem, lub szliśmy szybkim krokiem. Dawało to wypoczynek i nam, i naszym rumakom.

Była może godzina 12-a w południe, gdy w oddali, nad horyzontem ujrzeliśmy dwie niewielkie, podłużne chmurki. Rosły one stopniowo, zbliżały się do siebie i do linii horyzontu, aż w końcu zlały się w jedne i z widnokręgiem złączyły. Potem rosły ciągle i rosły, póki nie przybrały form wielkiego pasma gór, widzianego ze znacznej odległości. Były to niewysokie wzgórza za Omdurmanem — miejsce, na którem przed pół trzecia rokiem generał Kitchener złamał potęgę Kalify. Z racyi mirażu wzgórza te przybrały rozmiary potężnego łańcucha górskiego.

Odtąd byliśmy świadkami całej seryi zmian na dalekim widnokręgu. Na prawo od pasma gór poczęły występować pojedyncze plamki, które znów stopniowo rosły, łączyły się ze sobą i zlewały z horyzontem. Jednocześnie wynurzała się z przezroczego, jak kryształ, powietrza jedna wielka podłużna czerwonawa plama, o konturach nierównych i bezustannie falujących. Był to Chartum ze swemi palmami i z wielkim gmachem kolegjum Gordona, który Anglicy na cześć wielkiego wodza ze składek wznoszą.

I rumaki nasze, przeczuwając blizki koniec mozolnej podróży, raźno się naprzód posuwały. Odległość malała szybko, coraz wyraźniej rysowały się kontury pojedynczych domostw. O kwadrans na 2-gą mijaliśmy murzyńską dzielnicę miasta, a w pół godziny potem z niekłamaną radością zajeżdżaliśmy przed werendę chartumskiego hotelu, przebywszy w pół dnia 65 kilometrów, jakie dzielą Nubę od Chartumu.

Była to chwila luncheon'u, więc też przy kilku stolach siedział z dziesiątek gości hotelowych, którzy nam się pilnie przypatrywali. Znać jednak było po ogorzałych twarzach, że to nie turyści. Zresztą sezon turystowski już się był skończył.

Dyrektor hotelu przyniósł nam cały pakiet listów i „Kurjerków Warszawskich," które z chciwością odczytywaliśmy, zanim nam jedzenie przyrządzono. Samo pobieżne czytanie listów zajęło mi blizko 2 go-

Z tegorocznego rykowiska.

(Dokończenie)

Jelenie, żerując, powoli, zbliżyły się na jakie tysiąc kroków. Tu przystanęły, zdały się rozważać i stępem, długim sznurem ruszyły ku mnie.

Serce bić zaczyna, a i nogi w kolanach nieznaczna trzęsiączka chwyta. Idą wolno, siedm łań—wśród nich słaby rogacz; ostatni poważnie kroczy duży byk, i raz po raz idącą przed nim łanię rogami poszturchuje. Z boku także chyba jeleń! Tak! dziesiątak, w przyzwoitej odległości. Idą wolno, emocye będą długie i ręka niepewna. Nastawiam lunetę do dalszego strzału, na 150 metrów.

Hej! beknął jeszcze i w krótkim galopie odpędza dziesiątaka, który się zbliżył z bezczelnemi, widać, zamiarami.

Co za widok! 300 kroków, 250. Ręka mi się tak trzęsie, że przez lunetę nie mogę odnóg policzyć. Widzę tylko silną, najeżoną koronę. Conajmniej czternastak. Idą sztychem, lecz na 200 kroków skręcają wolno w dolinkę za kępą jodełek i znikają mi z oczu.

— Gdzie wyjdą, czy na mnie, czy bokiem? Co robić? Trzeba było przedtem strzelić! Teraz co? Trudno! stać, czekać! Nie! bo gotowe doliną zejść w las niewidziane. Więc naprzód 30 kroków, choć gałęzie i paproć szeleszczą i dobrze, bo otóż łania, przodownica, wychyla się z za jodeł o 150 kroków, widzi mnie i jazda do lasu, a do lasu ledwie pięćdziesiąt kroków. Składam się.

Jedna, druga, trzecia, 8 sztuk pędzi, a wśród nich 2 mniejsze rogale, hop, hop, przez płot do zagajnika.

Ale gdzież duży byk, czy się nie cofnął krzakami?

Ręka mdleje od długiego złożenia się, minuta równa, zda się, godzinie.

I oto wysuwa się król naszych lasów, szerokim kłusem sunie ku płotowi, wietrzy i rozgląda się. Za płotem gąszcz. Przed płotem stanął na chwilę.

Trzy dni na taką chwilę czekałem i już spokojny celuję pod lunetą i z muszką trochę górą na komorę, ciągnę za cyngiel.

Suchy trzask małokalibrowego sztucera—jeleń sko-

dziny czasu. „Kurjery” zostawiłem na potem, aby je skrupulatnie przestudyować, niemal że z ogłoszeniami.

Przypominam wam, że przyjazd nasz do Chartumu wypadł w sobotę 16 marca.

Była to okoliczność bardzo szczęśliwa, bo następnego wtorku miał odejść z Chartumu ostatni w sezonie pociąg osobowy. Mieliśmy więc dosyć czasu, aby nasze rzeczy spakować i przed odjazdem różne sprawy załatwić.

Wśród gości hotelowych poznaliśmy kapitanów Sanders'a i Dugmore'a. Pierwszy z nich, gubernator Fashody, wiózł ze sobą parę kłów zabitego przez siebie słonia, z których każdy ważył około 140 funtów angielskich; są to zatem największe kły, zdobyte przez sportsmena. Znane są wprawdzie z wystawy Antwerpskiej kły, ważące po 200 funtów, lecz tamte były niewiadomego pochodzenia i rekord w tym razie należy do kap. Sanders'a. Żądał on za te wspaniałe trofea 300 funtów szterl. (około 3000 rubli).

Dugmore, wracający z Ugandy, wiózł ze sobą również parę wspaniałych kłów słoniowych, ważących 106 i 104 funty.

Poznaliśmy też w Chartumie porucznika Bertranda, Belgijczyka, zostającego na służbie państwa Congo. Znany ten eksplorator przedostał się tu z Congo i wracał teraz na urlop do kraju po 3 latach nieobecności. Mieliśmy z niego nadzwyczaj sympatycznego towarzysza podróży w drodze do Kairu.

Nie będę was nudził szczegółami naszej powrotnej drogi. Zaznaczę tylko, że z Chartumu wyruszyliśmy we wtorek 19 marca i stanęliśmy w Wadi-Halfa w czwartek. Ztąd na rządowym parostatku zrobiliśmy podróż do Assuanu, gdzieśmy stanęli 23 marca, a następnego dnia o godzinie 7 rano byliśmy już w Kairze. Napływ turystów z końcem sezonu był tu tak wielki, że ledwie dostaliśmy 2 miejsca na statku „Semiramis,” na którym w d. 30 marca odpłynęliśmy z Aleksandryi.

W Brindisi pożegnałem hr. Potockiego, który zdążał na święta Wielkiej Nocy do Rzymu, a sam stanąłem w Wielki Piątek wieczorem w Warszawie, witany przez dobrych moich przyjaciół. Tak więc podróż moja trwała równe trzy miesiące.

Rzućmy teraz okiem na rezultat naszej wyprawy. Oto spis zwierzyny, zabitej przez nas obu:

Słoń (samica)	1
Lew (samica)	1
Bawół (młody samiec)	1
Hypopotam (stary samiec)	1
Antylopa „roan” (*Hippotragus equinus*)	3
Antylopa „waterbok” (*Kobus defassa*)	1
Antylopa „hartebeest” (*Bubalis tora*)	1
Gazella „ariel” (*Gazella Soemmeringi*)	15
Gazella rdzawoczelna (*Gazella rufifrons*)	5
Antylopa „baszmat” (*Cervicapra bohor*)	7
Antylopa „mora” (*Oribia montana*)	5
Phacocher (*Phacochoerus aeliani*)	3
Ogółem	44 sztuk *)

grubego zwierza.

Czy rezultat ten uważać należy za dobry? Odpowiedź na to znajdziemy w zestawieniu powyższych cyfr z ilością czasu, jaki na właściwe polowanie użyliśmy. Bo jakkolwiek podróż nasza zajęła okrągłe 3 miesiące, to jednak na terenach myśliwskich spędziliśmy zaledwie 23 dni, to jest od 13 lutego (przybycia do Rigueby) do 7 marca (powrót i wyjazd z Rigueby). W tych 23 dniach były też całe dnie i półdniówki marszu, podczas którego zabicie jakiejbądź sztuki wypadkowo tylko zdarzyć się mogło; a w dodatku, mój charakter preparatora i kolekcyonera ptaszków nie zawsze pozwalał mi się oddawać ulubionemu sportowi. Biorąc to i drugie pod uwagę, obliczyłem skrupulatnie, według dziennika, wszystkie dnie polowania, licząc za dzień pełny—jeśli obaj robiliśmy całodniową wycieczkę myśliwską, za pół dnia—jeśli obaj polowaliśmy tylko pół dnia i za 1/4 dnia, jeśli jeden z nas dwóch polował tylko 1/2 dnia, gdy drugi pozostawał w obozie. Według tego porządku wypada nam: 9 pełnych dni, 6 pół dni i 4 ćwierć-dni, co razem daje *13 pełnych dni polowania w czasie całej naszej wyprawy.*

Mając to na względzie uważać musimy rezultat naszej wyprawy jako bardzo dobry i za taki też uważanym jest przez miarodajnych sportsmenów wiedeńskich.

Nie od rzeczy też będzie zestawienie rezultatów czterech innych wypraw, które jednocześnie z nami Sudan odwiedziły.

Wyprawa Hoyos-Buxton. Brało w niej udział czterech uczestników (dwóch hr. Hoyos'ów i dwóch braci Buxton'ów). Kierunek: prawy brzeg Białego Nilu. Czas trwania wyprawy (od Chartumu do Chartumu) ten sam, co i naszej ekspedycyi, lecz sportsmeni ci znacznie szybciej od nas dotarli do terenów myśliwskich i później je opuścili. Zabito: 8 bawołów, 1 lwa, 1 lamparta, 1 servala i 72 antylopy. Jeden z uczestników, a mianowicie młodszy hr. Hoyos, został silnie przez ranionego bawołu poturbowany, lecz, na szczęście, skończyło się tylko na kontuzyach.

*) Oprócz tego padło: pentarek 62, dzikich gęsi 2, dzikich kaczek 12, żórawi 7, ibisów 2, orłów 2, jastrzębi 2 i 60 drobnych ptaszków, które powiększyły zbiory Muzeum hr. Branickich w Warszawie.

---

czył w górę, potem przez płot, o który uderzył dwukrotnie, i zniknął z łoskotem wśród krzaków.

Słońce szeroką strugą światła bryznęło z za gór na świat Boży, a ja stałem zasłuchany w ginący tentent zwierza, dumny, bo prawie pewien swego, a naprężony tak wrażeniem, żem kroku zrobić nie mógł.

Otrząsnąłem się po chwili, sztucer nabiłem i dalej na strzał. Kroków 127. Na miejscu farby niema, tylko głębokie ślady racic. Zostawiam chustkę, by w razie danym ślad odnaleźć i idę do płotu. Na górnej żerdzi trochę szerści—rozglądam się i nad płotem wpada mi w oko czerwona plamka na dębowym liściu. Przełażę na drugą stronę — plamka farbą, a i tuż na ziemi farba czarna, płucna.

Wiwat! jeleń mój i zaraz iść za śladem można.

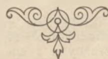
Posuwam się ostrożnie coraz wyrazistszym czerwonym szlakiem. Gąszcz utrudnia bardzo zadanie, miejscami czołgać się muszę, nareszcie widzę zdaleka na małej goliznie ciemne rozłożyste rogi, biegnę... Byk już nie żył!

Długa chwila tryumfu i skupienia. Pot dziurgiem z czoła leci, a serce bije, jak szalone. Oglądam zdobycz z namaszczeniem. Czternastak, brodacz potężny, z tej dawnej, czarnorogiej i ciemnoskórej rasy, a rogi perliste, z poczwórną łopatą na końcu, grube nieledwie jak ramię. Co za byk! Grandle starte ciemno-bronzowe. Kula! prawda kula? Z trudem zwierza odwracam: kula tam gdzie być miała, trochę górą na komorze.

Wołam! Wnet dwie trąbki niedaleko się ozwały i gajowi przybiegli. Pierwsze trofeum, po kilku bezsennych nocach, radośnie im się odbiło na twarzach. Starszy podaje mi na czapce gałązkę dębu — myśliwski znak zwycięstwa. Drugi poleciał po konie i niedługo, z radością w sercu, jechałem ku domowi.

Po co mi afrykańskie lub indyjskie łowy, gdy w kraju takich wrażeń jeszcze doznać mogę, nie opuszczając prawie sfery codziennego obowiązku. Znam tamte z opowiadań i książek, lecz twierdzę, że w wysokiem myślistwie, nie równać się nie może poezyi, wysłuchania, podchodzenia i zabicia takiego królewskiego zwierza, jak nasz czworonogi jeleń, w cudnych swojskich lasach, w jasny i mroźny ranek wrześniowy.

Z. P.



Wyprawa Teleky-Coloredo. Brało w niej udział dwóch sportsmenów (hr. Teleky i ks. Coloredo). Kierunek: Chartum, Wod-Medani na Gedaref do rzeki Atbary i jej brzegami powrót do Berberu. Czas trwania—dłuższy od naszej. Zabito: 2 słonie, 3 bawoły, 1 lwa i sporo antylop.

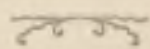
Wyprawa ks. Arenberga. Dwóch uczestników (ks. Arenberg i hrabia Le Marois). Kierunek identyczny z naszym (Chartum—Dissa i z powrotem). Czas trwania—nieco dłuższy od naszej. Zabito: 1 słonia (?), 1 hypopotama i trochę mniejszych antylop.

Wyprawa ks. Lichtensteina. Jeden uczestnik. Kierunek: od Chartumu na El Obeid w głąb kontynentu. Przestrzeń przebyta (w jednym kierunku) — 1600 mil angielskich. Głównym celem wyprawy było zdobycie rzadkiego dzikiego barana (*Ovis tragelaphus*). Otóż ks. Lichtenstein barana tego nie zdobył, a zabiwszy tylko 4 *Oryx'y*, powrócił do Chartumu.

Zestawiając powyższe rezultaty, widzimy, że czołowe stanowisko zajmuje bezwarunkowo wyprawa Hoyos-Buxton. Przyczyniła się do tego przedewszystkiem znaczna liczba uczestników (czterech); powtóre najbogatszy teren, jakim jest prawy brzeg Białego Nilu; a po trzecie względna szybkość dostania się do terenów myśliwskich (od Chartumu 6 dni parowcem), dzięki czemu wyprawa mogła odbywać polowania w ciągu 40 dni (od 27-go stycznia do 6 marca).

Jakkolwiek wyprawa hrabiego Potockiego zajmuje względnie do czasu i liczby uczestników drugie dopiero miejsce, to jednak pocieszyć się możemy, że poza sportsmeńskiemi, zdobyła ona ważne rezultaty naukowe. Obecności w Sudanie antylopy: „baszmata" (*Cervicapia bohor*) i rdzawoczelnej (*Gazella rufifrons*) nikt przedtem nie podejrzewał; zdobycie więc obu tych gatunków jest ważnym przyczynkiem do ich rozmieszczenia geograficznego. Nadto ostatnia z nich należy do wielkich rzadkości zoologicznych i niewiele europejskich muzeów może się poszczycić jej posiadaniem, a myśmy na szczęście zachowali jeden całkowity egzemplarz, który zdobi obecnie cenne antonińskie zbiory trofeów. Nie mogę też pominąć milczeniem, że doskonały rezultat naszej wyprawy w znacznej części przypisać należy wyjątkowej energii, oraz znakomitemu talentowi organizatorskiemu hr. Potockiego. Sam nieczuły na trudy i dolegliwości, przykładem swym nieustannie podtrzymywał w nas słabnącego pod wpływem znużenia ducha; sam o wszystkiem myślał, wszystko pamiętał, niczego nie pominął. Nic więc dziwnego, że wśród tych dzikich przestrzeni zażywaliśmy względnego dobrobytu, żeśmy na chwilę nie zerwali z cywilizacyą, bo nam ją ciągle wszelkie wygody obozowe przypominały.

Ja osobiście mogę się uważać za nadzwyczaj szczęśliwego, bo nie mówiąc o drobniejszej zwierzynie, z którą niemal codzienne miałem spotkania, w tak krótkim stosunkowo czasie udało mi się zetknąć z trzema najgroźniejszymi nieprzyjaciołmi człowieka: słoniem, lwem i bawołem. Nigdy też nie zapomnę hr. Potockiemu, że mnie do tej wyprawy zaangażował i do grobu wdzięczność dla niego poniosę, on to bowiem był przyczyną, żem wielki szmat Czarnego Kontynentu zwiedził i zaznał tak nowych, a tak silnych, i trwałych wrażeń.



Nieco o psim organizmie i zmysłach.

(Dalszy ciąg).

Pies zawsze umiał zwrócić na siebie uwagę, a nieraz nawet zawstydzić człowieka, jak tego dowodem najwierniejsza żona Ulissesa, która nie poznała wracającego po długiej niebytności męża, a pies go poznał najpierwszy.

Wiele pisano o inteligencyi zwierzęcej, a zatem i psiej, i literatura zachodnia może się poszczycić w tym razie mnóstwem poważnych i specyalnych studyów. U nas, liczne jeszcze względy i okoliczności nie dopuszczały do rozwijania tych powijaków, jakiemi przyroda przed oczyma naszemi otula swoje wytwory. Łatwiej nam o pornograficzne produkcye Boccacia, jak o odwagę poszukiwania inteligencyi zwierzęcej i rozprawiania o niej bez obrazy zbyt wyczulonych kierunków. Znalaźćby można kiedy niekiedy przygodną wzmiankę lub opowieść, utopioną dla szerszego oka społeczeństwa w poważnym jakim traktacie akademickim, któremu wyznaczono nietykalne miejsce w poważnym księgozbiorze, i na tem koniec. Źle zrozumiane i oceniane dążności w tym kierunku, onieśmielają i łamią umysły, zawcześnie wyszydzane, gdy dopiero ziarnko do ziarnka.. da miarkę.

Na każdym kroku, patrząc tylko na samych siebie, trudno nam zaiste poszukiwać jakiejś wspólności z istotami niższego rzędu. Jesteśmy za wyniośli i zanadto odskoczyliśmy inteligencyą od wszelakiego stworzenia, ażeby sobie ubliżać porównaniami, jakie nie wytrzymałyby krytyki trudycyjnych uprzedzeń, przekonań i pojmowanej *po swojemu* godności duchowej. A przecież moglibyśmy wiedzieć bez ubliżenia najdelikatniejszym odcieniom wyrobionej naszej miłości własnej, że do inteligencyi, jaką posiadamy, doszliśmy pracą miliona wieków. Że w przyrodzie systemy i układy organiczne stopniowo się wykształcały, i ta stopniowość dała podstawę niezliczonym odmianom, jakie nas tak dzisiaj uderzają i wprawiają w zdumienie, że najbliżej siebie stojące organizmy, różnią się o całe niebo tak zwanej doskonałości.

Idziemy naprzód,—i to bardzo naprzód, i niemożna się dziwić, jeżeli w rodzinie kilku braci o różnej woli i skłonnościach, każdy inaczej przyjmuje wiedzę. I gdy jeden zmachany na początku, kieruje się w prawo, inny staje w połowie, a zaledwie paru lub jeden wytrwale zdobywa światło i potrafi oświecać ludzkie gościńce. Tamci, pozostali w tyle, pozostać muszą i być ciemniejsi. Tak się działo w przyrodzie, tak się działo w ludzkości samej, gdy bowiem nadeszła chwila badań porównawczych i w zachwycie nad wielkością człowieka znaleziono poważną różnicę w możności wspięcia się do całego szeregu idei i pojęć oderwanych, mających być wyłącznym przywilejem jego, znaleziono ludzkie plemiona na ziemiach Oceanii, które właśnie żadnych pojęć abstrakcyjnych nie mają.

Bardzo poważne umysły filozoficzne, długi czas błądziły po manowcach nieporozumień w kwestyi duchowości zwierzęcej. Ostatecznie jednak zgodzono się z Darwinem na to, że „jakkolwiek kolosalny istnieje przedział między inteligencyą najniższego człowieka a inteligencyą najwyżej stojącej małpy, to jednak porównywając istotę myślenia ludzi i zwierząt im najbliższych, żadnej rzeczywistej różnicy niema."*)

Rozwój inteligencyi idzie równolegle do rozwoju masy mózgonerwowej. Pies w obcowaniu z człowiekiem narażony ciągle na pewne natężenie umysłu, mógł wytworzyć w swojem mózgowiu większą siłę pojemną w kierunku cywilizacyjnym. Na tej zasadzie nietrudno będzie zrozumieć, dla czego pies miał możność nietylko składać dowody swego myślenia, lecz nawet rozwinąć poniekąd do pewnego stopnia swoją inteligencyę. Mówimy: do pewnego stopnia, gdyż ta jego inteligencya zależna od rozwoju mózgowego, tak u psa jak i u wszystkich zwierząt, musi być w znacznym stopniu ograniczoną. I dla tego, nie wydymając sprawy nad miarę, jesteśmy zupełnie zadowoleni, jeżeli w tych właśnie granicach dostrzegać możemy odblyski inteligencyi, a chociażby tylko jej cienie i taką inteligencyą nietylko mamy obowiązek się zachwycać, ale ją cenić i szanować.

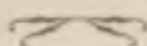
Pies zatem w swej względnej inteligencyi pokazuje, iż umie zastanawiać się, kombinować, porównywać i sądzić, ale że w sferze zbyt silnie ograniczonej i żadnemi specyalnemi studyami nierozwijanej, więc najczęściej popełnia omyłki, które naprawia przez doświadczenie i pamięć, a więc w następstwie sąd, lecz rzadko próbuje wyciągnąć dla siebie istotnie korzystne

*) Przegląd dziejów przyrody. p. D-ra Wincentego Szyszłło Tom II.

wnioski. I tak, dopiero co ukarany, gdy się nań zawoła—przychodzi,.. nie umiejąc na razie przeniknąć, czy go się woła na pieszczoty, lub po nowe baty. Wprawdzie może być łatwo w błąd wprowadzony tonem, na który jest tak czuły, jak Chińczyk na swoje akcenty, i dla tego idzie spokojny, ufając tonowi dopóki nie zostanie zdradzony, co mu na przyszłość pozostanie w pamięci; w teraźniejszości zaś za zawód nie omieszka okazać wzgardę wzrokiem, i obrazę warknięciem lub nieraz i poważniejszym buntem. Pies wychowany od szczeniaka, jest uleglejszym i pokorniejszym względem swego pana, niż pies przyswojony,—ale ta uległość i pokora nie pozbawia go jeszcze godności własnej. Zwykle obadwa się dobrze rozumieją i wzajemnie tolerują wszelkie zamachy na ową godność. Ludzie jednak lekkomyślni bardzo łatwo mogą nawet psa ogłupić lub zepsuć; co dziwnego więc, że autor „Myślistwa z ogary" na stronnicy 5 powiada „Ten rozum, po czym poznać, wypisać trudno, znać jednak przecie głupią twarz i u psa".

(D. c. n.).

Antoni Ignacy Tomaszewski.



Strzelba myśliwska

JEJ WYRÓB I PRAKTYCZNE ZASTOSOWANIE

PRZEZ

Jerzego Kocha.

Tłómaczył z niemieckiego **J. Kraszewski.**

(Dalszy ciąg).

Nos *T* posuwa się przy otwieraniu strzelby naprzód i tym ruchem napręża sprężynę *H*. Mechanizm jest tak sztucznie połączony z zamkiem, że po wystrzeleniu uderzenie młoteczka zwalnia sprężynę ze spustu, wskutek tego cofa się nos *T*.

W podobny sposób jest skonstruowany eżektor fabryki Holland i Holland w Londynie.

W Niemczech boczne zamki zaprowadzono już dość dawno u broni automatycznie się odwodzącej.

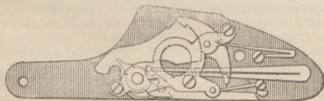


Fig. 57. Zamek z fabryki Sauer i Syn w Suhl.

Strzelba z takiemi zamkami wynalazku Bartscha w Lignicy na Szlązku, uzyskała patent 1882 roku pomimo niektórych braków, dla których nie znalazła zbytu.

Zato strzelby wynalazku Dreyse'go w Sömerda z bocznemi zamkami, automatycznie się odwodzące, zyskały wielką wziętość.

Zamki te są podobnie zbudowane jak u powyżej opisanych iglicówek tego samego systemu, z tą jedynie różnicą, że zamiast sprężyny spiralnej jest umieszczona sprężyna perkusyjna, odskakująca. Bezpiecznik nie jest automatyczny, tylko składa się z zasuwki, umieszczonej na wierzchu baskuli lub też z kierownika (*Stangensicherung*), który się łączy z małą dźwignią, umieszczoną na blaszce zamkowej. Gdy się dźwignię spuści, walec umieszczony wewnątrz chwyta kierownik i zmusza go przez to do oparcia się o spusty kółka sprężynowego, gdy się dźwignię podniesie, zwalnia go się z uwięzi. Konstrukcya tej strzelby jest bardzo prosta, a przytem mocna i silna.

Na fig. 57 widzimy odskakujący zamek odwiedziony, systemu Sauer u. Sohn w Suhl, który można uważać jako typ nowoczesnych zamków z bocznemi ściankami.

Zamek ten odróżnia się od zamków odskakujących z pokrywką (*Kreuzstudelrückspringschloss*) tylko tem, że kierownik widzimy umieszczony na przodzie, co powoduje urządzenie haczykowatych spustów i ulokowanie kierownika zabezpieczającego na dole blachy zamkowej. Spusty te są bardzo pewne, a przytem nie utrudniają spuszczania kurka, bo bardzo solidnie są odrobione i działają bardzo elastycznie. Odwodzenie kurków lub zamków uskutecznia się za pomocą dźwigni, która przy opadaniu luf chwyta pałeczkę, umieszczoną na walcu w górnej jego części. Zarazem kierownik wpada w spust pałeczki.

Budowa baskuli jest solidna pomimo umieszczenia zamków po bokach, dźwignią, odwodzącą zamki, łatwo i szybko można kierować. Spusty są dość daleko oddalone od osi walca, a przytem tak zbudowane, że pociągnięcie za cyngiel jest bardzo miękie. Zamki celem czyszczenia łatwo można wyjąć podobnie jak u strzelby perkusyjnej, po za tem dubeltowy zabezpiecznik jest nadzwyczaj pewny i niezawodny.

Cokolwiek odmienny od powyższego systemu jest mechanizm u strzelby automatycznie się odwodzącej wynalazku Kessler w Suhl. Fig. 58 przedstawia nam konstrukcyę tej broni.



Fig. 58.

Tutaj tylko sprężyna spiralna, działająca również jako sprężyna odwodowa (*Rückspringfeder*), jest połączona z blaszką zamków, podczas gdy inne części mechanizmu—pałeczka, sprężyna spustowa i kierownik, są umieszczone we wnętrzu baskuli, bezpiecznik jest systemu Anson i Deeley. Zamek można z łatwością po odśrubowaniu blaszki rozebrać, wyczyścić i naoliwić.

Ten sam fabrykant uzyskał patent na boczne zamki (fig. 59), z dubeltowym kierownikiem.

Kierownik *b* i *c* poruszają się na pokrywach zamków za pomocą sprężyn *d* i *e*.

Spusty pałeczki *a* (a^2 i a^3) umieszczone są ponad sobą, a kierowniki są tak zbudowane, że za pociągnięciem cyngla tylne ich ramiona (b^1 i c^1) razem funkcyonują.

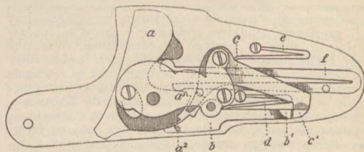


Fig. 59.

Dubeltowa sprężyna spustowa daje pewność i gwarancyę, że strzelba nie puści, nawet wtenczas, gdy jeden z kierowników miał zawieść.

Działanie sprężyny spustowej *f*, na pałeczkę (*Schlogstück*), wynalazku fabrykanta Simson i Sp. w Suhl opiszemy poniżej.

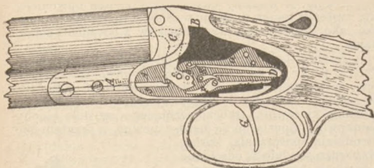
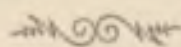


Fig. 60.

W niektórych szczegółach podobne zamki do powyżej opisanych wyrabiał w 1891 roku Lene i Knoll w Leodyum (*Lüttich*) fig. 60.

(D. c. n.).



Z zachodniej Syberyi.

Zwierzostan zach. Syberyi zmniejsza się z roku na rok w zastraszający sposób. Mamy tu przed oczyma niezbity dowód, że gospodarstwo rabunkowe spustoszyć jest wstanie w najkrótszym czasie nawet największe zasoby bogactwa danego kraju,—a co najgorsza demoralizuje z gruntu ludność, czyniąc z niej element, jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej czasowo, ekonomicznie bezwartościowy. Nic też dziwnego, że syberyjski chłop, jako amator wszelakiego przemysłu: łowieckiego, rybnego, orzechowego, etc. odwykł od pracy rolniczej, przyzwyczaił się żyć z dnia na dzień tem, co łaskawy los w gotowej formie posłać mu raczy. Naturalnem następstwem takiego trybu życia jest ścisły związek chłopa syberyjskiego z szynkiem i absolutne poddanie się wiejskiej ludności w gorszą od egipskiej niewolę, t. j. w zależność ekonomiczną od strasznych tutejszych pająków, które przy pośrednictwie karczmy, wiejskiego sklepiku i wszelakiej lichwy wyciągają ostatnie z narodu soki i zniechęcają ostatecznie lud do pracy. Śmiesznością okryłby się, i przeklinałby sam siebie każdy, kto w celu użycia myśliwskich rozkoszy wybrałby się w podróż do zachodniej Syberyi. Spotkałby tu kraj martwy i ludność wiejską żądną lekkiego zarobku, wysoko przebiegłą i wytresowaną we wszelkich sposobach wyzyskiwania każdego przybysza, każącą sobie drogo płacić za niezbędną pomoc przy praktykowaniu myślistwa w krajach dzikich, obcych, przestronnych, z małolicznym zwierzostanem. Naturalnie, pieniądz wszędzie swą wszechmoc ujawnić jest zdolnym i chłop syberyjski pod wpływem brzęczących argumentów ułatwi myśliwemu spotkanie się z ostatniem, w najciaśniejszy kąt zagnanem, stadkiem cietrzewi, a nawet ze spoczywającym zimą w barłogu niedzwiedziem. Wszelako przy takiej pomocy zdobywana zwierzyna będzie sowicie opłaconą, tak sowicie, że taniej bez porównania wypadłoby kupować ją żywą, łowioną w sieci przez chłopów i w żywym stanie dostawianą do Warszawy. Patrząc na tutejsze gospodarstwo łowieckie dziwić się wypada nie temu, że zwierzyny jest tak mało w Syberyi, że zwierzostan maleje w szalonej progresyi z roku na rok, lecz temu, że wogóle zwierzyny jest jeszcze cośkolwiek, że od czasu do czasu można jeszcze spotkać się ze stworzeniem, czułem na wszelkie prześladowanie, jak głuszec, jarząbek, łabędź, soból, łoś, jeleń, wilk, lis i niedźwiedź. Corocznie bowiem czyni się wszystko, co jest w siłach ludzkich, aby wytępić ostatni ślad dzikiej żywizny. Gdy ptak stepowy, jak cietrzew, kuropatwa, przepiórka i t. p. siądzie na jajkach, rozpoczyna się doszczętne wypalanie stepów. Dymy tłuką się wtedy po ziemi, czyniąc nieznośnem życie jako tako kulturalnemu człowiekowi. Nocą naokół łuny pożarów świecą na niebie, mnóstwo ptactwa ginie w płomieniach, po nad rzekami mewy noc całą wiją się w powietrzu, przeraźliwie żałosnym krzykiem skarżąc się na niszczącą ich potomstwo siłę ognia, podkładanego wciąż przez człowieka, zawziętego w bezmyślnem wykonywaniu zwyczajów, niemających żadnego racyonalnego uzasadnienia. Gdy wodne ptactwo pocznie składać jaja, cała męzka ludność blizkich i dalekich wsi syberyjskich wybiera się na poszukiwanie tych jaj, zbiera je starannie, nie dbając, czy pochodzą one od gęsi i kaczek, czy od mew, żórawi, czajek, lub kuligów. Znalazłszy gniazdo, chłop syberyjski stara się złowić i starego ptaka, urządza więc sidła przy gnieździe i rzadko tylko pomyślny rezultat nie wieńczy jego usiłowań. Młode wodne ptactwo włościanie tutejsi wyłapują zbiorowemi siłami przy pomocy sieci i wszelakiego rodzaju łowieckich fortelów. We wszystkiem tem chciwemu i rozpróżniaczonemu chłopu pomaga pies, głodem tresowany. Gdy włościanin wyjeżdza wiosną w pole, latem na pokos lub żniwa, zabiera z sobą zawsze całą zgraję wygłodniałych kundysów, które w nocy pilnują gospodarza i jego koni, a dniem karmią się własnym przemysłem, duszą ptactwo, wysiadujące jajka, nielotne cietrzewie, kuropatwy, młode zające, wreszcie myszy, a w ostateczności zadawalniając się i robakami.

Dodajmy do tego, że każdy chłop syberyjski już od 10 roku swego życia jest myśliwym i posiada pojedynkę, którą stale wozi ze sobą w pole, że w każdej chwili gotów on porzucić nielubiane przez się: sochę, kosę lub sierp, aby puścić się w pogoń za ujrzaną zwierzyną, a zrozumiemy, że wiosną ku każdej kaczce, która ośmieliła się spocząć na niezarośniętej wodzie, skrada się po kilku zapamiętałych myśliwych i każdy cietrzew lub kuropatwa ma do czynienia z przebiegłym wrogiem, na każdym kroku nań czyhającym. A myśliwy syberyjski nie zna żadnego ograniczenia w zakresie spełniania swego procederu;—poluje też rok cały, dniem i nocą ze strzelbą i z sidłami, pieszo i konno, z psami i z zasadzki, nie znając granicy jak długa Syberya i szeroka.

I w głuszy syberyjskiej tajgi zwierzyna nie znajduje spokoju. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni zdarzają się często pożary leśnych przestrzeni, pożary rozprzestrzeniające się na olbrzymie obszary, niszczące mnóstwo dziczy doszczętnie. W czasie takich pożarów dymy rozchodzą się daleko na kilkadziesiąt wiorst po rzekach, zasłaniają słońce, które, przeświecając krwawo po przez obłoki dymu, wprowadza człowieka, nienawykłego do takich widoków, w stan dziwnego niepokoju. Większa zwierzyna uchodzi do tajg sąsiednich, mniejsza, a mianowicie ptactwo, ginie doszczętnie. Zresztą próżniaczy naród w towarzystwie zgraj psów przeniknął dziś za przemysłem do najoddaleńszych tajg. Latem za jastrzębiem i głuszcem, za cedrowemi orzechami, zimą na łyżwach za futrzanym zwierzem i jarząbkiem włóczy się po tajdze mnóstwo chłopstwa, podczas gdy setki tysięcy dziesięcin z wspaniałą niekoszoną trawą zasypuje śnieg corocznie. Gdy soból zdradzi swą obecność tropami, natychmiast rozpoczyna się nań obława, trwająca ustawicznie, dopóki skórka szlachetnego zwierza nie dostanie się w ręce przekupnia, a pieniądze za nią otrzymane, nie przejdą do przechodniej kasy miejskiego szynkarza. I sieci, i łapki, i psy, i broń palna, i pogoń wytrwała stosowane bywają ku ostatecznej zgubie nieszczęśliwego stworzenia. Lis, który potrafił ostać się w Europie w najgęściej zaludnionych okolicach, pomimo wypowiedzianej mu wojny i wszelkich prześladowań, w dzikiej Syberyi rozmnożyć się nie może, i w krótkim czasie wyginie prawdopodobnie doszczętnie. Gdy spadną bowiem pierwsze śniegi, włościanin syberyjski w otoczeniu zgrai psów puszcza się na poszukiwanie śladów lisich, a znalazłszy je, prześladuje zwierza dniem i nocą, dopóki nie zapędzi go do nory, poczem w norze stawia pułapkę, w którą lis zmorzony głodem dostaje się niezawodnie, często dopiero po 14 dniach więzienia i strasznych mąk głodowych. Prócz tego systematycznie wykopuje się tu młode lisięta dla odchowania ich na strychu i ubicia jesienią, przyczem, by skórki były cenniejsze, przełamuje się od czasu do czasu nogi nieszczęsnym lisiakom. Ostatki

borsuczego rodu wydobywane są również z nor każdej jesieni.

Dziwnie też nieśmiałym jest lis tutejszy i rzadko bardzo czyni szkody w gospodarstwie człowieka. Nieśmiałym jest i wilk, nikt go się tu nie obawia, nie bywa on bowiem nigdy stroną zaczepiającą, a wiecznie prześladowany, nie ma odwagi przedsiębrać nocnych do wsi wypraw. Gdy zdradzi się śladem wówczas włościanie gonią go konno dopóty, dopóki zmęczony nie odda swej głowy pod uderzenia pałek. Memu znajomemu, który z dubeltówki na 25 kroków w słonia możeby nie trafił, zdarzyło się zabić z rewolweru, zmordowanego pogonią i około sani biegnącego wilka. Łosia i jelenia gonią chłopi na nartach po głębokim śniegu, dopóki zwierz nie ustanie i męczeńską nie legnie śmiercią. Nawet najszlachetniejszy, domowy niemal, jeleń, morał, którego rogi, sprzedawane chińczykom jako lekarstwo na wagę złota, dostarczają utrzymującym go włościanom poważnych dochodów, jest na ostatecznem wyginieniu, pomimo opieki prawa, które w tym wypadku jest bezsilne. Ałtajski kozioł skalny corok staje się większą osobliwością.

I co tu mówić o wielkiej i cennej zwierzynie, skoro wiewiórka, gnębiona masowo, staje się w Syberyi rzadkością, skoro łasica syberyjska (kołonok) jest tak systematycznie prześladowaną, że jeden chłop zastawia na tego zwierza po sto i więcej pułapek! Nawet sroki bije się tu bezlitośnie i wywozi na sprzedaż do miast, choć za cenę tego ptaka i kieliszka wódki napić się nie można. Cietrzewie łowimy w czasie toków na sidła, jesienią strzela się je przy „cieniakach," zimą stawia się na nie łapki przy stertach zboża, wreszcie nakrywa się je sieciami, gdy nocą w miękkim spoczywają śniegu; kuropatwy w podobny prześladuje się sposób. Nawet niedźwiedź najczęściej kończy swój żywot w odpowiednio dlań przyrządzonej pułapce. Zające giną w dołach, wykopanych specyalnie dla nich w głębokim śniegu.

Nie darmo pieśń sławi Syberyę, jako krainę wolności, gdzie rzeki srebrem płyną. Jest ona wistocie krainą wolności, ale źle pojętej.

T. O. W.

Ptaki łowne Afryki południowej.

W krainie, opanowanej obecnie przez Anglików, walczących z boerami, najbardziej rozpowszechnionym ptakiem jest perlica hełmiasta (*Numida mitrata*). Wspaniały ten ptak jest silniejszy, ciemniejszy i cięższy od perlic, znanych w Europie; mięso ma białe i nader smaczne. Najwięcej spotyka się te ptaki nad rzekami Oranii. Jak wiadomo, perlice należą do znakomitych szybkolotów (?); z łatwością przelatują 30 kilom. dziennie, zmieniając pastwisko. Polować na te ptaki można jedynie, obeznawszy się z ich zwyczajami gruntownie. Jeżeli szczęśliwym trafem posiada się psa, do tego polowania odpowiednio ułożonego, to można skutecznie na nie polować. Szybkobieżny, gorliwy, stary pointer, lub inny pies, posiadający te własności, poradzi sobie z niemi łatwo; strzelcowi pozostaje tylko kopnąć je nogą, żeby do lotu zmusić. Przed wieczorem perlice afrykańskie zbierają się w stada, które wspólnie przepędzają noc na drzewach lub w wysokim chruście. Z nastaniem zmierzchu słyszy się ze wszech stron ostre, metaliczne głosy tych ptaków, wzajemnie się nawołujących do apelu nocnego.

Zwyczajna stepówka lotna (*Pterocles tachypetes*), którą w Afryce Południowej nazywają kuropatwą „Namagua," znajduje się w wielkiej ilości w okręgach Karusa i na północnych równinach Kraju Przylądkowego.

Ptaki te muszą mieć koniecznie rano i wieczór wodę; gdy nadchodzi chwila właściwa, wszystkie udają się do najbliższej wody. Nie odstrasza ich nawet znaczna odległość. W suchej porze, zwłaszcza, kiedy strumienie, źródła i rzeki wysychają, spotyka się niezliczone roje tych kuropatw Namagua. Strzelanie do nich dla sportu podczas ciągu należy do prawdziwych przyjemności, bo co do mięsa przedstawiają bardzo małą wartość, ponieważ nie mają dobrego smaku. Załatwiwszy się z napojem, ptaki te rozdzielają się znowu na stada, a jedno drugiego unika starannie.

Na północy rzeki Oranii spotyka się jeszcze trzy gatunki stepówek: dwupręgowe (*Pterocles bicinctus*), żółtogardliste i wielobarwne; w Kaplandzie są one prawie zupełnie nieznane. Za to spotyka się tutaj mnóstwo dropi.

Ze wszystkich ptaków najciekawsze są bezwarunkowo dropie czubate (*Otis Kori*). Boerowie nazywają tego ptaka „pawiem gumowym" z powodu ulubionej przezeń gumy, która przez pewną porę roku spływa z różnego rodzaju drzew akacyowych. Drop czubaty pod względem łowieckim przewyższa wszystkie inne ptaki. Długi na 4 stopy 8 cali angielskich od końca dzioba do ogona, niejeden z tych ptaków olbrzymich waży około 40 funtów angielskich, czyli przeszło 18 kilogr. Niema się też czemu dziwić, że myśliwi miejscowi gorliwie polują na tego ptaka, którego spotyka się głównie na wyżynach Kraju Przylądkowego. Nie jest to jednak zwierzyna, niezmieniająca swego stanowiska, gdyż, jak większa część ptaków południowo afrykańskich, byt tego dropia zależy od obecności zapasu wody. Bez deszczu niema dlań żerowania, musi przeto porzucić miejscowość, w której pobyt uniemożliwia dłuższa susza, i przelecieć w okolice, świeżo przez deszcze nawiodzone. Dropia tego spotyka się przedewszystkiem w kraju Beczuany i Transwaalu, prawdopodobnie dlatego, że tam jest bezpieczniejszy, niż w ludnym Kaplandzie. Silnego tego ptaka można zastrzelić grubym śrótem, dosięgnąwszy go zblizka. Lecz to zdarza się bardzo rzadko, a przeto używają tutaj zwykle sztucerów małego kalibru, jak w Europie przy polowaniu na dropie większe. W otwartem polu i polując w licznem towarzystwie, udaje się zamknąć w kotle i osaczyć tego ptaka, a wtedy można strzelać doń zblizka. Oprócz dropia czubatego spotyka się tam dropia Stanleya i dropia Ludwiga.

Lubo dropie afrykańskie okrom żeru roślinnego, nie gardzą także wężami, jaszczurkami, rakami i wszelakiem i płazami, to jednak mięso tych dropi należy bezwarunkowo do najsmaczniejszych w Afryce Południowej; dobry drop dobrze przyrządzony wszędzie uchodzić może za przysmak królewski. Drop Stanleya (*Otis Caffra*) i drop Ludwiga (*Otis Ludwigi*) znajdują się przeważnie w części północnej Kaplandu. Niekiedy spotyka się je na południu wielkiego Karrusa; zdarzały się jednak wypadki ubicia dropia Ludwiga tuż pod Kapsztatem. *Otis Caffra* i *Otis Ludwigi* są, jak i drop czubaty (*Otis Kori*), ptakami wędrownemi; są odeń lżejsze i mierzą zwykle 3 stopy angielskie do 3 stóp 6 cali.

Do pośledniejszych gatunków należy wielce tam rozpowszechniony drop czarny (*Otis Afra*), którego pełno w tych stronach. Spacerując wśród otwartych stepów, słyszy się wszędzie ostry głos tego ptaka, który zdaje się wyzywać do walki; widzi się go często kroczącego po równinie, aczkolwiek usiłuje ciągle kryć się przed wzrokiem ludzkim. Drop ten, jak i pokrewny mu drop czarny o białym dziobie, którego spotyka się na północy rzeki Oranii,— ma zwyczaj zrywać się dopiero, gdy myśliwy znajduje się już blizko. A mimo, że zapada wnet na ziemię, ptak ten jest wyjątkowo szybkolotny, a przy zrywaniu się krzyczy straszliwie, czem daje znak do zerwania się wszystkim pozostałym ptakom starym i młodym, rozumiejącym, że niebezpieczeństwo jest blizkie. Mimo szybkości, łatwo ubić tego ptaka, ponieważ nie zrywa się zbyt pośpiesznie. Mięso tego ptaka jest dosyć smaczne. Miejscami spotyka myśliwy dropia płowego, szarego lub niebieskawego. Są to odmiany dropia czarnego, które zresztą obecnie prawie wymarły w Kaplandzie.

Przed laty pojawiały się niezliczone roje przepiórek na nizinach Kaplandu. Koloniści holenderscy twierdzą, że dobry sezon przepiórkowy bywa raz na 7 lat, lecz nawet w niedobrych latach ma się pewność, że na przepiórki uda się dobrze polowanie, zwłaszcza na południu i zachodzie Kolonii. W średnim roku ubicie czterdziestu do pięćdziesięciu par w jedną

strzelbę przez dzień jest rzeczą bardzo powszednią. A mimo że przepiórki są ptakami wędrownemi, to jednak część ich pozostaje zawsze rok cały. Spotyka się tu również przepiórkę arlekińską, stepową i drobną (*Turnix lepurana*).

Z pozostałych ptaków, mogących interesować myśliwego, musimy jeszcze wymienić południowo afrykańskiego „głowacza" wielką ilość czajek, bekasy o czarnych dziobach, bekasy plamiste i, jako wyjątek, bekasy wodne. Gołębi są tu rozliczne gatunki. Z ptaków wodnych nie brak żadnego ze znanych gatunków. Ogólnie biorąc, Afryka południowa odznacza się wielką ilością i rozmaitością zwierzyny lotnej.

Korespondencye „Łowca Polskiego."

Montresor, *w listopadzie.*

Dorocznym zwyczajem opuściłem Warszawę w drugiej połowie października, aby w towarzystwie mego chlebodawcy, Ksawerego hr. Branickiego, udać się do dóbr jego Montresor, położonych w uroczej Tourainie (la Touraine), którą słusznie poeci i niepoeci nazywają „ogrodem Francyi." Od lat szesnastu wycieczki te moje powtarzam, a korzyść z tego odnoszę podwójną: unikam nieznośnych szarug listopadowych i znajduję pełne pole do zadowolenia mej żyłki myśliwskiej.

Sam majątek montresorski obejmuje około 2600 hektarów (blizko 5200 mórg), a przytem hr. Branicki dzierżawi sporo działek włościańskich. Nadto gościnni sąsiedzi zapraszają nas często gęsto na swe polowania, bo wzamian i oni do Montresoru przyjeżdżają, a polowania tutejsze słyną na całą okolicę. Czasu więc nie tracimy i chyba choroba, lub jakie święto uroczyste od polówki powstrzymać nas może.

Zwykle polujemy dwa razy w tygodniu z gończemi psami na dziki, jelenie i sarny, a resztę dni zajmują nam polowanka z naganką na kuropatwy i bażanty, lub też z basetami—na króliki i zające. Dzików w tym roku mamy tu stosunkowo niewiele, bo żołędzie nie obrodziły i w skutek tego protoplaści naszej poczciwej trzody chlewnej porozłaziły się po różnych małych laskach, zkąd im łatwiej na polu szkody robić. Mimo to wszystkie nasze dotychczasowe polowania w lesie dały o tyle dodatni rezultat, że za każdym razem mieliśmy dziki otropione i za każdym razem ktoś do dzików strzelał, tylko na nieszczęście było tam więcej pudeł, jak strzałów trafionych.

Pewnego razu otropiono dużego odyńca w lasku kilkunasto-morgowym, oddzielonym wązkim pasem pola z jednej i z drugiej strony od wielkiego lasu. Otoczyliśmy lasek i puszczono psy, lecz jegomość był w złym humorze, bo ledwie go poczciwe gończaki zaatakowały, już jednego z nich swą ostrą szablą po udzie naznaczył. Na nieszczęście wytknął dwa razy na miejscowych gajowych, którzy go dokumentnie opudłowali. Iść jednak naprzód nie chciał i co chwila słychać było, jak psy kaleczył. Odemnie przeszedł ledwie o 10 kroków, ale gąszcz z wrzosów*), żarnowców i nizkopiennej dębiny był w tem miejscu tak straszny, że nawet na 2 kroki nic widać nie było i tylko po szeleście i po gonie psów wiedziałem, którędy przeszedł. Aż w końcu dojeżdżacz konno przedarł się do tej gęstwiny i z konia dzika zastrzelił. Tu dopiero poznaliśmy przyczynę jego złego humoru: w jednej z szynek, tuż przy osadzie ogona miał on dużą ranę od kuli jakiegoś kłusownika; robactwo aż się tam roiło. Po ztrąbieniu psów okazało się, że 7 z nich uległo cięższym lub lżejszym okaleczeniom. Szczęśliwie jeszcze, że żaden z nich nie zdechł, choć z drugiej strony psiarnia nasza na czas jakiś zredukowaną została do 10 gończych, co na tutejsze gąszcze i przy koniecznej potrzebie rezerw jest bezwarunkowo zamało.

Innym znów razem otropiono stado dzików i dużego odyńca w kilkudziesięcio-morgowym lasku „Beaumont," odległym od naszej siedziby o wiorstę drogi. Lasek ten jest pocięty wązkiemi linijkami na sekcye po 100 metrów w kwadrat. „Tu się nam chyba nie wykręcą"—mówiliśmy sobie. Część myśliwych rozstawiła się na szosie, która las w połowie przecina, reszta—a ja między nimi—na łące, na wypadek, gdyby dziki chciały się wynosić, co łatwo przewidywać można było. Goniliśmy te dziki przez 3 godziny z rzędu, rozbiegłszy się, jak w partyzantce, po alejkach; padło 13 strzałów i rezultatem było zabicie marnego warchlaczyny, ważącego 20 funtów. Wasz sługa ma też na sumieniu jedno pudło, ale o tem sza!

*) Wrzos francuzki dochodzi parometrowej wysokości.

Lepiej poszło nam z kuropatwami, których stan w roku obecnym jest tutaj bardzo piękny. Dwa tygodnie temu odbyło się tu polowanie sąsiedzkie, na którem znalazło się ogółem 17 strzelb, w połowie dobrych, a w połowie miernych, albo marnych. Zwyczajem tutejszym przed polowaniem o godzinie 11-ej podaje się śniadanie. Gdy ten zastęp myśliwych (dam nie było) zasiadł do stołu, gwarno zrobiło się w sali jadalnej zamku montresorskiego, i gdyby nie inne typy twarzy, rzekłbyś, że to jedno z tych naszych wesołych zebrań myśliwskich, na których nie wiadomo, co więcej podziwiać—czy doniosłość głosów, czy apetyty ucztujących. Każdy kolejno zapytywał mnie, czy w tym roku dużo jest zajęcy w Montresorze, bo dla prawowiernego Francuza „*un beau lièvre*" wart jest więcej, jak 5 zabitych kuropatw.

Po śniadaniu, około południa zaczęliśmy polowanie. Rezultat był świetny, bo w sześciu pędzeniach, mimo bardzo lichego strzelania, padło 136 kuropatw, 39 zajęcy i 3 króliki.

Dzień ś-go Huberta obchodziliśmy w tym roku w Rambouillet, a właściwie w Grange-Colombe, u hr. Mikołaja Potockiego, który nas grzecznie zaprosił na dwudniowe łowy. Polowania hr. Potockiego słyną na całą Francyę, a biorą w nich często udział głowy koronowane, jak również pierwszorzędni sportsmeni francuzcy i angielscy. Spodziewać się więc można było, że dzień Naszego Patrona należycie uczcimy.

Pierwszy dzień polowaliśmy na kuropatwy z naganką i w 11 strzelb zabiliśmy 90 kuropatw, 3 zające, 1 strepeta (mały gatunek dropia—*Otis tetrax*). Mnie szczęście posłużyło w dniu tak dla każdego myśliwego uroczystym, bo zabiłem 14 kuropatw, 1 zająca i strepeta, dzięki czemu osiągnąłem królestwo. Kur widzieliśmy mnóstwo, lecz ponieważ było to już 9-e polowanie w tym sezonie, więc tak zmądrzały, że się ciągle bokami wynosiły, lub nagankę forsowały.

Poraz pierwszy widziałem w Grange Colombe ciekawe urządzenie na naganki tego rodzaju. W wielu miotach—gdzie tylko teren jest równy—zamiast zwykłych zasłon, pokopane są dla myśliwych czworoboczne doły, na metr głębokie i dostatecznie szerokie, aby dwóch ludzi i psa wygodnie pomieścić mogły. Po prawej i po lewej stronie myśliwego, znaczy się od strony sąsiadów, wbito są po dwa kijki pionowe, a do nich przymocowany jeden poprzeczny. Ten rodzaj ostrożności jest niezbędny, jeśli się chce uniknąć wypadków postrzelenia, które w danym razie byłyby zawsze fatalne, gdyż wszyscy myśliwi w chwili zbliżenia się kuropatw mają głowy na poziomie ziemi; słupki zaś wręcz przeszkadzają strzałowi do nizko ciągnących ptaków, gdy te między stanowiskami przelatują.

Drugiego dnia polowaliśmy na bażanty i króliki. W 10 strzelb zabiliśmy 283 bażanty, 69 królików, 12 kuropatw i 1 zająca—ogółem 305 sztuk, na przestrzeni 160 mórg. Zwrócić też muszę uwagę, że są to bażanty wychowane na dziko, a nie puszczone z bażantarni. Rok rocznie dopuszcza się tylko 50 sztuk w tym lasku i z tego jest przyrost tak znaczny.

Wogóle Francuzi mogliby nam służyć za przykład umiejętnej hodowli zwierzyny. Taki np. p. Dupont, którego poznałem na polowaniu w Grange-Colombe, bije rok rocznie na swoim mająteczku, wynoszącym 180 hektarów (360 mórg) od 1200 do 1400 kuropatw. Pierwszy dzień w sezonie daje mu 800 kuropatw zabitych na nagance!

A przecież kłusownictwo w Francyi jest tak rozwinięte, jak w żadnym chyba kraju na świecie. Nie mówiąc o setkach tysięcy drobnych właścicieli,*) którzy dniami i nocami czyhają na swych działkach na cudzą zwierzynę, znajdują się tu całe stowarzyszenia kłusowników, doskonale zorganizowane i rozsyłające swych agentów po całym kraju. Wypadek jednak, który się tu zdarzył przed paru tygodniami przechodzi wszystkie inne znane dotychczas w zakresie kłusownictwa.

W okolicach Paryża (nie pamiętam już nazwy miejscowości), zjawił się elegancki samojazd, a w nim trzech porządnie ubranych panów. Nagle w maszynie coś się popsuło, więc panowie zostawili pojazd na drodze w polu, a sami zaszli do pobliskiej wioski. Wieczorem ulotnili się, a gdy rano wieśniacy przyszli na miejsce, gdzie dnia poprzedniego ugrzązł samojazd, już go tam nie było. Natomiast różne pozostawione przedmioty i *6 zapomnianych kuropatw*, świadczyły, że owi panowie od samojazdu była to szajka kłusowników. Właściciele okolicznych gruntów przekonali się, wkrótce że im pola ze zwierzyny oczyścili dokumentnie. Jest to niezrównany przykład kłusownictwa z 20 wieku!

Jan Sztolcman.



*) Rząd francuzki wydaje rocznie przeszło 400,000 pozwoleń na prawo polowania.

Przyczynek do polowania na bażanty.

W jesieni, gdy pierwsze szrony widzimy, gdy liście z drzew opadają, poczyna się polowanie na bażanty. Z postępem kultury i to nie tylko kultury rolniczej, pisze w „Zwinger u. Feld" p. v. Pressentin-Rautter, zkąd ten artykuł czerpiemy, ale i kultury łowieckiej, bażant zaaklimatyzował się i rozpowszechnił w całej środkowej Europie, dając myśliwemu sposobność pysznego polowania. Bo rzadko która zwierzyna taką rozkosz sprawia oku myśliwego, jak właśnie bażant swem pięknem upierzeniem, no i trzeba wprawnej ręki, podobnie jak na słonkę, by go zrzucić; zrywa się bowiem prostopadle po nad wierzchołki drzew.

Bażant lubi się trzymać w liściastych zagajach w pobliżu pól i łąk, a najmilszem dla niego schronieniem to trzciny, stare, wysokie trawy, witki wierzbowe, pola kukurydzowe, gdzie go drapieżnik nie dojrzy.

Gdy stada już zupełnie wyrosły i dobre na pieczyste, polowanie wtedy na nie niełatwe; bażant wycieka tak szybko przed psem na nogach, tak się umie przed nim schować w trawach i krzakach, że trzeba psa bardzo doświadczonego, by go zmusił do poderwania się.

Przyjętem jest wprawdzie we wszystkich krajach, że polowanie na bażanty rozpoczyna się we wrześniu, ale poleca się wstrzymać z odstrzeliwaniem do października, bo wówczas za koguty wysoką na rynkach osiągnąć można cenę, co także nie jest rzeczą do pogardzenia. Gdzie stan bażantów nie jest zbyt liczny, najlepiej się poluje z dobrym wyżłem, mającym dobrą stójkę i apel. Zbarczony bażant zwykle tak wymyka na nogach, że żaden pies, ani strzelec go nie znajdzie; gdy bażant robi „świecę", to znak, że dostał postrzał w głowę lub oko.

Z powyższych wywodów widzimy, że postrzelonego bażanta bardzo pilnie trzeba mieć na oku, zwłaszcza w gęstych i zwartych rewirach leśnych.

W rewirach, gdzie jest znaczna ilość bażantów poluje się na nie z naganką, i to najlepiej w listopadzie, gdy pola ogołocone i bażant szuka schronienia w gąszczu i lesie. Nagankę robi się nadzwyczaj ostrożnie; najprzód rozstawia się strzelców na stanowiskach, potem dopiero idą naganiacze pod przewodnictwem doświadczonego gajowego, na miejsce, zkąd się ma pędzić. Bażanty zrywają się zwykle gromadnie („bukietami"), wyciekając do ostatniej chwili.

Po każdej takiej nagance należy drugiego dnia przeszukać rewir, gdyż niejedną postrzeloną sztukę znajdziemy.

Tarcza do próbowania broni śrótowej.

Oddawna oczekiwana przez myśliwych tarcza do próbowania broni śrótowej wyszła z druku i jest do nabycia w kancelaryi Oddziału (Nowy Swiat 35).

Jak wiadomo tarczę tę opracował p. Władysław Słonczyński na podstawach przyjętych przez niemiecki Instytut do próbowania broni śrótowej w Halensee. Składa ona się z koła o 75 cm. średnicy, podzielonego na 100 pól; pod tarczą są obliczenia i wskazówki, czego wymagać można i należy od dobrej broni śrótowej przy odpowiednim ładunku.

Tarczę ową wydał własnym nakładem Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa i sprzedaje myśliwym w paczkach po 25 sztuk za 1 rub., czyli po 4 kop. za sztukę.

Zalecamy usilnie tę tarczę nie tylko pp. myśliwym, ale i naszym składnikom broni, bowiem parę lub kilka strzałów danych do tej tarczy, wykazuje wartość użytkową broni bardzo widocznie i określa ją na naukowych podstawach.

W Niemczech zużytkowuje się takich tarcz setki tysięcy rocznie, bowiem strzelbę od czasu do czasu spróbować trzeba, gdyż wiecznie jednakowo bić nie będzie, a dla każdego myśliwego ważną jest rzeczą znać dokładnie prawdziwą wartość swej broni.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 11 grudnia. Od członków naszego Oddziału napływają ustawicznie skargi na kłusownictwo. Zarówno na tem posiedzeniu, jak i na poprzedniem, Rada zajęta była jedynie prawie roztrząsaniem tych skarg. Jedynym środkiem, jakim Rada w tym względzie rozporządza, jest zawiadomienie odnośnego naczelnika powiatu o znajdujących się w jego powiecie kłusownikach z prośbą o dokonanie rewizyi i odebranie broni. Wszystkie więc skargi, jakie w ostatnich tygodniach napłynęły w ten sposób załatwione zostały.

Drobiazgi Myśliwskie.

Późne bekasy. W r. b. spotykałem bekasy później niż zwykle. Mianowicie pod Korczewiem d. 4 listopada znalazłem przy chłodnej i bardzo wietrznej pogodzie 6 sztuk, z których zabiłem 4, w tem 3 krzyki i 1 ficlauza. Dnia 17 tegoż miesiąca, wydeptawszy wszystkie znane miejsca, spotkałem tylko 2 ficlauzy, z których jednego zabiłem, przy tempdraturze—$\frac{1}{2}$°R i cienkiej skorupce lodowej, która powlokła kałuże.

Zawartość lisiej nory. Na wiosnę roku zeszłego w rewirze barona Mayra w Styryi natrafili—nadleśny Rieger i myśliwy Brandstetter na niezwykle ciekawą norę lisią. Odkrył ją sprytny jamnik, wypędzając z niej liszkę. Myśliwi szukali w jamie potomstwa, którego spodziewali się znaleźć ilość znaczną. Przedewszystkiem jednak ujrzeli tam kompletną śpiżarnię, wypełnioną zajączkami, sarniętami i t. p. Ku wielkiemu wszakże zdumieniu, napotkali tam żywą kurę domową, która przerażona strasznie, przykucnęła w kącie, bardzo zgłodniała, ale z wyjątkiem kilku zadrasnięć była zupełnie nienaruszona. Kurę uwolniono, nakarmiono starannie, a gdy przez ten czas zjawiła się jej właścicielka, zwrócono jej zgubę.

Liszka. Piszą z Turyngii do „Wild u. Hund." W połowie maja b. r. pewien zagrodnik obchodził swe podwórko, gdy ujrzał na kupie gnoju przed kurnikiem siedzącego lisa, bacznie śledzącego ruchy kur. Był on tak zajęty i zacietrzewiony, że chłop podszedł go z tyłu i zabił widłami. Była to liszka, karmiąca młode.

Kuropatwy w Anglii. Kuropatwa w Anglii w hrabstwie Norfolk odznaczającem się pyszną roślinnością, jest bardzo ponętną zwierzyną, podobnie jak kury grouse w Szkocyi.

Widzi się tam cudowny krajobraz, doliny poprzerzynane strumykami, bagna, zagajniki i lasy. To też w sezonie przebywają tam chętnie nietylko lordowie, ale także zoologowie i ornitologowie. Teraźniejszy król angielski Edward, mający tam posiadłość Sandringham, chętnie oddaje się tam polowaniu na kuropatwy, których jest tam taka ilość, jak nigdzie w Anglii.

W większych rewirach zbierają jaja kuropatw i podkładają je pod kury „Bantham." Pyszny to widok, gdy po wylęgeniu ta mała kurka pisklęta kuropatwie wodzi. W hrabstwie Norfolk polują przeważnie z naganką, bacząc na to, by odstrzeliwać stare koguty.

Stan kuropatw jest tam tak liczny, że gdyby nie racyonalne polowanie, za bardzo by się rozmnożyły. W marcu, w noce księżycowe, roi się od nich na polach żyta i pszenicy, zwłaszcza w okolicach zawierających wiele wapna. Właściciele rewirów obsiewają umyślnie na krańcach zagajników kawałek pola pszenicą lub żytem. Również mnóstwo kuropatw spotyka się w polach buraczanych. Na obszarze 700 akrów zabito jednego dnia 800 sztuk.

Dziwny skutek postrzału. W sierpniu, r. z.—pisze p. von T. do „Dt. J. Ztg."- wybrałem się na polowanie na kuropatwy; porwało się stado, strzeliłem do pojedyńczej sztuki; ptak po strzale zrobił „świecę," zawisł na *minutę* nieruchomie prawie w powietrzu, lekkie tylko robiąc ruchy skrzydłami, i spadł nieżywy u mych stóp. Obejrzawszy kuropatwę bliżej, spostrzegłem ranę w szyi mocno krwawiącą.

Szybkość psów. Jeden z kynologów angielskich twierdzi, że psy są najszybszemi wyścigowcami. Foxterrier biegać może godzinami za powozem lub wierzchowcem pana swego, nie okazując zmęczenia. Jedynie niektóre gatunki, zwyrodniałe przez złą hodowlę, utraciły tę zdolność, którą posiadają nawet psy dzikie. Wilk może gonić 80 do 100 kilometrów przez noc, będąc do tego zmuszony lub szukając zdobyczy. W okolicach Francyi, bogatych jeszcze w wilki, nikt nie dogoni starego wilka. Niezwykłą szybkością odznaczają się także lisy podbiegunowe. Nansen widział je w oddaleniu 100 kilometrów od wysp nowosyberyjskich; jest prawdopodobieństwo, że lisy te dotarły do bieguna, nieprzystępnego dotąd dla ludzi. Psy eskimosów i syberyjskie, podobniejsze do wilków, niż nasze, robią na lodowcach 75 kilometrów przez 5 godzin. Podróżnik de Hays przebył w psim zaprzęgu 11 kilometrów przez 28 minut w jedną stronę a w drugą—przez 33 m. Jest to szybkość, do której nie są zdolne tameczne renifery. Wypadki takie są jednak rzadkie, bo lody biegunowe są pełne szczelin, utrudniających bieg szybki.

Nasze kundle i większość psów gończych osiągają szybkość 10 do 15 metrów na sekundę. Wyżły angielskie pędzą z szybkością 25 do 30 kilometrów na godzinę, potrafią zaś biedz bez przerwy 2-3 godziny. Lisogony (fox-houndy) odznaczają się również nadzwyczajną chyżością i wytrwałością. Pewna suka tej rasy dotrzymała biegu wyścigowcowi pełnej krwi, robiąc bez wysiłku 4 mile angielskie przez 6 minut i ½ sek, czyli po 18 prawie metrów na sekundę. Innego konia pełnej krwi wyprzedziła, bo on na przestrzeni 2 mil robił po 16 metrów na sekundę. Charty wreszcie, będące niewątpliwie najszybszemi czworonożnemi, na punkcie szybkości równają się gołębiom pocztowym. Angielskie charty, ułożone umyślnie do wyścigów, robią w pełnym galopie 18 do 23 metrów na sekundę, podczas gdy koń wyścigowy nigdy nie przekracza szybkości 19 metrów na sekundę. Najwyższa szybkość zająca wynosi 18 metrów na sekundę.

Z Norwegii. „D. Dt. Jäger" pisze, że w rewirach kapitana Inell odstrzelono w przeszłym roku 83 łosie. W tym roku sezon rozpoczyna się dopiero w połowie września. Myśliwi tamtejsi nie obiecują sobie więc dobrego rezultatu, bo powietrze już nie sprzyja.

Przemyślny kłusownik. Z prowincyi nadreńskich donoszą do „Wild u. Hund," że pewien kłusownik, nie chcąc być poznanym, ubierał się zwykle w suknie kobiece. Schwytano go wreszcie na gorącym uczynku i skazano na 6 miesięcy więzienia.

Premie. Za zabicie wydry i czapli wyznaczono w Alzacyi premie: za wydrę 7,50 marek, za czaplę 2 m., za młodą czaplę 1 m., za wybrane jaja czaple po 0,30 m. za sztukę.

Oryginalny środek ochronny lasów wynalazł sobie pewien obywatel ziemski w okolicy Ostrowa (księstwo Poznańskie). Sprowadził on kilkanaście wilków, jak pisze „W. u. H.", i wpuścił je w swe leśne rewiry. Skutek był taki, że chłopi z obawy przed wilkami drzewa nie kradną, ale za to szkody w oborach i owczarniach są ogromne; zdarza się nawet, że wilki napadają podróżnych na drogach. *Se non e vero e bene trovato.*

Ilu myśliwych jest we Włoszech? Ciekawe to pytanie wobec znanego barbarzyńskiego tępienia ptactwa przelotnego. Czytamy w „Zw. u. Feld," że podług pisma „B. T." wykazuje ostatnia statystyka 243,915 ludzi, mających bilety na broń. W 1893 roku liczono nawet 251,000 takich nemrodów (?).

Foxhoundy. W celach polowania *par force* utrzymywane są obecnie w Anglii, Irlandyi i Szkocyi następujące psiarnie: 8 na jelenie, 128 na lisy, 38 na zające w Anglii; 3 na jelenie, 17 na lisy; 8 na zające w Irlandyi, a 9 na lisy w Szkocyi; w całem Królestwie Wielkiej Brytanii istnieje zatem 212 psiarni myśliwskich i parforsowych, z których większa część pracuje trzy dni w tygodniu.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szanownych Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

Dnia 4-go grudnia odbyło się polowanie w 9 strzelb w Malanowie u pana Ant. Orzechowskiego w powiecie łódzkim na którem padło 103 zające. Dzień był bardzo nie pomyślny i to było przyczyną, że padło o 60—70 zajęcy mniej, niż inny lat. Energiczne ściganie kłusowników i racyonalna ochrona zwierzyny przez gospodarza sprawiła, że polowanie to słusznie uważane jest za jedno z najładniejszych w tamtej okolicy.

W d. 7 b. m. odbyło się pierwsze w tym roku polowanie zimowe na gruntach Osieckich, dzierżawionych przez Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa. W polowaniu przyjęło udział 24 członków. Zabito 118 zajęcy, w pięciu miotach leśnych i dwóch pędzeniach polnych. Pogoda dopisała, jednakże zające były przeważnie w lesie tak, że w pędzeniach polnych znaleziono zaledwie po kilka zajęcy. Polowanie prowadzone było zupełnie prawidłowo; w jednym tylko miocie rozerwała się naganka, co jednakże szybko naprawionem zostało.

W dobrach Włodawskich (gub. siedlecka) hr. Augusta Zamoyskiego odbyło się trzydniowe polowanie, na którem przy fatalnej pogodzie w 9 strzelb zabito:

D. 10 grudnia Leśnictwo Weryki: rogaczy 5, lis 1, zajęcy 86, kuropatw 9; ogółem 101 sztuk.

D. 11 grudnia Leśnictwo Adampol: dzików 2, rogaczy 9, lisów 3, zajęcy 53, kuropatw 2; ogółem 69 sztuk.

D. 12 grudnia. Leśnictwo Augustów: dzików 2, rogaczy 9, lisów 5, zajęcy 110, kuropatw 2; ogółem 128 sztuk.

Ogólny więc rezultat tych łowów jest: dzików 4, rogaczy 23, lisów 9, zajęcy 249, kuropatw 13; ogółem 298 sztuk. Strzałów dano 631.

Królem polowania był Zdzisław ks. Lubomirski z Małej Wsi.

W dnie 26-go i 27-go listopada odbyło się dwudniowe polowanie w lasach Konstantynowskich własności hrabiego Plater Zyberka (gub. siedlecka). Ubito 246 zajęcy 7 kozłów, 1 lisa, oraz 6 kuropatw. Razem sztuk 260. Królem polowania był Seweryn ks. Czetwertyński z Suchowoli.

Treść Nr 24 „ŁOWCA POLSKIEGO".

Prenumerata „ŁOWCA POLSKIEGO" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

W lecznicy dla zwierząt Aleja Jerozolimska № 41 ordynujący lekarz weterynaryiny, I. Koziołkiewicz, udziela porady weterynaryjnej codziennie od godziny 10 rano do 12 poł. za opłatą po 30 kop. od każdego zwierzęcia. Biedni właściciele zwierząt z porady korzystają bezpłatnie.

OGŁOSZENIA.

Z handlu zwierzyną.

W ostatnich dniach w Warszawie, w składzie Chruścińskiego, za Żelazną Bramą w Gościnnym Dworze, płacono ceny następujące:

	Kupowano	Sprzedaw...	
Sarninę . .	—.15 k.	—.20 k.	funt
Zające . .	.60 k.	.90 k.	sztuka
Kuropatwy			
młode . .	.90 k.	1.10 k.	para
stare . .	—.80 k.	1.00 k.	para
Bażanty			
koguty . .	3.00 k.	4.50 k.	para
kury . .	2.00 k.	3.60 k.	para
Kaczki dzikie			
krzyżówki	1.20 k.	1.50 k.	para
cyranki .	.90 k.	1.20 k.	para
Kwiczoły. .	8.00 k.	10.80 k.	kopa
Jarząbki . .	.80 k.	1.00 k.	para
Cietrzewie .	1.25 k.	1.50 k.	para
Dubelty . .	2.40 k.	3.00 k.	para
Słonki . .	3.00 k.	3.50 k.	para
Przepiórki .	.80 k.	1.00 k.	sztuka
Jamiołuszki.	3.00 k.	4.80 k.	kopa

Berlin, *2 grudnia. Handel zwierzyną* (Sprawozdanie urzędowe dla hurtowników).

Płacono za ½ kg. jelenie 0,30—0,40, za daniele 0,30—0,50, rogacze kapitalne 0,50—0,60, mniejsze sztuki 0,30—0,45; króliki 0,50—0,90, zające 2,50—3,40, młode kuropatwy 0,80—1,10, stare 0,70—0,80, kaczki 1,00—1,30, cyranki 0,50, bekasy 0,50, bażanty (koguty) stare 1,00—2,25, młode 1,00—3,60, bażanty (kury) 1,00—2,25.